

Voodoocide Inc.

I

Czerwono-niebieskie odblaski tańczyły na mokrym asfalcie niczym pulsujące skupisko fantastycznych meduz w zakamarkach oceanu. Odgłos policyjnej syreny ginął w szumie bryzy, warkocie silników, kawalkadzie przekleństw i odgłosach stóp taplających w kałużach. Tylne drzwi ambulansu głucho trzasnęły, a stojący obok ratownik medyczny zdjął pokryte kroplami deszczu okulary, westchnął ciężko i podrapał się w nos. Tim Pennock minął rozpinającego taśmę młodego funkcjonariusza i skierował kroki w stronę biało-czarnego oldsmobile'a 98, wokół którego krzątało się paru znajomych. Piękny oldtimer z końca lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku nadawał całej scenie lekko nierzeczywisty klimat. *Jak w jakimś pieprzonym filmie* – pomyślał policjant i pokonując dużą kałużę, wskoczył na trotuar.

Sarah Butler opierała się o przerdzewiałą balustradę oddzielającą wąski pasek chodnika od stromego, wybetonowanego nadbrzeża. Niedbale narzucony płaszcz przeciwdeszczowy zakrywał tylko prawy bark i połowę pleców policjantki. Lewa ręka zwisała bezwładnie, a krawędź opaski uciskowej była czerwona od rozcieńczonej deszczem krwi. Mokre strąki czarnych włosów oklejały wysokie czoło i blade, piegowate policzki. Sarah pociągnęła nosem i przeniosła wzrok z oldsmobile'a na podchodzącego wolnym krokiem Tima.

– Cholera – zaczął mężczyzna i zaraz skarcił się w duchu, że nie znalazł lepszego słowa na przywitanie. – Słyszałem, że Derek...

Mrugnęła kilkukrotnie oczami, jakby coś wyrwało ją z transu. Tim milczał, czekając aż odezwie się pierwsza.

– Nie żyje – odparła zaskakująco beznamiętnym głosem. – To wszystko trwało dziesięć sekund, Tim – dodała takim tonem, jakby bez wewnętrznego przekonania próbowała się usprawiedliwić.

Znów pomilczeli przez chwilę. W końcu Sarah otworzyła usta, by się odezwać, ale nagle na jej twarzy odmalował się grymas bólu. Zachwiała się i przyklękła jednym kolaniem na chodnik. Sekundę później Tim był już przy niej, pomagając się podnieść, zaraz potem dołączył do niego ratownik medyczny i razem prowadzili policjantkę do jednej z dwóch karetek.

– Straciła trochę krwi – mruknął medyk. – W sumie i tak miała szczęście, biorąc pod uwagę brzytwę tego koleśia...

– Derek miał nosa – wyszeptała Sarah ledwo słyszalnie, z wysiłkiem obracając głowę w stronę Tima. – Wyczuł, że z tym wozem jest coś nie tak... On zawsze miał nosa... – powtórzyła jeszcze ciszej.

Pomogli jej wejść do środka. Usiadła na ławce obok lekarza i gestem ręki dała znać Timowi, żeby ją teraz zostawił. Przełożony wahał się przez chwilę, po czym skinął głową i wrócił do oldsmobile'a. Minął technika, który właśnie zasuwiał worek na ciele jednego z zastrzelonych przestępców – kątem oka zdążył dostrzec przeoraną zmarszczkami czarną twarz o karaibskich rysach, z imponującą burzą dreadów i zarostem w kolorze soli i pieprzu. Inny technik zabezpieczał w foliowym worku broń denata, rodzaj krótkiego miecza o szerokiej klindze wypolerowanej na wysoki połysk. Przy bagażniku samochodu nerwowo kręcił się zastępca prokuratora, Alan T. Reynolds, patykowaty czterdziestolatek w przydużym prochowcu.

– Na tylnej kanapie wieźli odciętą głowę w worku – wymamrotał, gdy Tim zatrzymał się dwa kroki od niego. – Już nadgniła. – Wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia. – Kolejne świry z Nowego Orleanu.

Tim strząsnął krople wody z przemoczonej grzywki i wymownie spojrzał na klapę bagażnika.

– Jeszcze nikt nie zaglądał – mruknął Alan. – Chyba...

Policjant podszedł do samochodu i położył dłoń na chromowanym przycisku zamka. Alan spojrzała na niego krzywo, ale zaraz potem wzruszył ramionami. Kłapa uniosła się z nieprzyjemnym zgrzytem. W środku leżały jakieś zwinięte w kłębek szarobure ciuchy, kanister, kilka butelek piwa i nieduży skórzany neseser o lekko przetartych krawędziach.

– Dragi – westchnął zastępca prokuratora. – Sprawa dla federalnych i DEA. – Uśmiechnął się gorzko.

Tim pokręcił nosem i ciężko przełknął ślinę.

– Zdejmij szybko odciski i podaj mi rękawiczki – zwrócił się do najbliższego z techników.

Chwilę później delikatnie nacisnął obleczonymi w silikon palcami na mosiężne kłapki zatrasków. Mimowolnie się cofnął, gdy wieko odskoczyło, po czym uniósł je koniuszkiem palca i zamarł z wybałuszonymi oczyma.

– Ja pierdolę, co to ma być? – syknął Alan.

Wnętrze neseseru podzielone było asymetrycznie na dwie przegródki. W mniejszej znajdowało się kilkadziesiąt małych pudełeczek z obrazkiem tęczy i napisem „Kodak”, w większej tuzin lekko pośliskłych pudełek sygnowanych „Olympus”.

Lekarz oddalił się śpiesznym krokiem w głąb korytarza. Tim niewiele pamiętał z tego, co usłyszał. Coś o dziwnych wynikach, leukocytach, nawet o podejrzeniu białaczki – na szczęście zarzuconym po powtórnej weryfikacji. Ważne były tylko to, że stan Sarah, która zemdląca w karetce w drodze do szpitala, szybko się poprawiała. Na tyle, że przełożony mógł się z nią zobaczyć.

Zawsze była dość blada, co tworzyło nawet atrakcyjny melanż z burzą gęstych, kruczoczarnych włosów. Teraz jednak wyglądała niemalże jak trup świeżo wyjęty z chłodni prosektorium. Widząc przerażoną minę kolegi, uśmiechnęła się lekko i, wkładając w tę czynność widoczny wysiłek, przysiadła na krawędzi łóżka.

– Nic mi nie będzie – zaczęła. – Acz czuję się cholernie słabo. Właściwie to nie wiem, dlaczego...

Teraz on się uśmiechnął.

– Zastrześliś dwóch skurwysynów, z których jeden omal nie obciął ci ręki maczetą. Każdy byłby zmęczony...

Lekko przytaknęła głową, ale na jej twarzy odmalował się słabo skrywany brak przekonania.

– Dobra! Mów, co wiecie. – W piwnych oczach błysnęły iskierki ożywienia.

Tim przysiadł na niewygodnym obrotowym krześle obok łóżka i założył nogę na nogę.

– Jeden gość, ten młodszy z pistoletem, był kiedyś notowany za rozbój w Lake Charles, potem jeszcze za paserkę. Ale to wszystko drobnica, poza tym nic na niego nie mamy. Miał kobietę, dwoje dzieci, jakąś dorywczą pracę. Za to ten drugi... Brak odcisków w kartotekach, co już samo w sobie dziwne u Czarnego. Nie wiemy nawet, jak się naprawdę nazywa, bo posługiwał się cudzym prawem jazdy i numerem *social security*. Mocno dziwny koleś, nosił na sobie złotą biżuterię za dobrych pięćdziesiąt kawałków.

Sarah aż cichutko zagwizdała pod nosem. Otworzyła usta.

– A głowa w worku... – kontynuował, uprzedzając jej pytanie. – Mężczyzna, między trzydzieści a trzydzieści pięć lat, sprawdzamy DNA. Ścięty tą samą maczetą, którą koleś was zaatakował.

Policjantka przygryzła wargi i zmarszczyła brwi. Sprawiała wrażenie, jakby chciała zapamiętać każde słowo i potem je na spokojnie przetrwać.

– W bagażniku była walizka – Tim mówił powoli, skupiając wzrok na bladej twarzy Sarah. – A w niej... zaczekaj... – Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął złożoną na pół, kwadratową żółtą karteczkę i rzucił okiem na kilkanaście odręcznie zapisanych słów. – Sześćdziesiąt cztery rolki filmu „Kodak High Definition 400”, dwanaście kompaktowych aparatów na film 35 milimetrów „Olympus *mju-II*”...

– Aparatów na film? – przerwała mu gwałtownie. – Takich starych, których już nikt nie używa?

Uniósł brwi, robiąc bezradną minę.

– Słuchaj, to jest w ogóle jakaś zakręcona sprawa – mruknął. – Gadałem o tym z Robem z magazynu. Tych rzeczy od ładnych paru lat już się nie produkuje. *Mju-II* to wersja na rynek europejski, u nas ten model był kiedyś sprzedawany jako *stylus epic*. To ponoć kultowy aparat, używali go nawet profesjonaliści. Z drugiej strony, wcale nie był drogi, to nie jest paserka jakichś kolekcjonerskich rarytasów...

Przerwał, gdy dostrzegł na czole policjantki, że ta usiłuje skupić myśli.

– Derek miał się w przyszłym tygodniu oświadczyć, tej no... – zmieniła temat.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaczął błądzić myślami w zakamarkach pamięci, by przypomnieć sobie poprzedni przypadek, kiedy zginął policjant na służbie w obszarze municypalnym Baton Rouge. *Trzy lata temu...*

Sarah łączywie wciągnęła powietrze w płuca. Jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Wbiła wzrok w białą ścianę pokoju za plecami Tima.

– On by żył, gdyby nie niewypał.

Policjant zmarszczył brwi.

– Colt nie wypalił za pierwszym razem – powiedziała ciszej, niżby chciała. – Na dwie sekundy zgłupiałam, Tim. Temu świrowi z maczetą to wystarczyło...

Przełknęła ciężko ślinę. Znow miała dreszcze. Tim wyciągnął rękę i delikatnie chwycił ją za ramię.

– Nikt by sobie lepiej od ciebie tam nie poradził.

Naprawdę, do diabła! – dodał w myślach.

– Kiedy pogrzeb? – zapytała.

Twarda babka!

II

Niedoszła narzeczona Dereka wyglądała na pogrzebie niczym dystygowana, zaprawiona w chowaniu kolejnych mężów wdowa. Sarah widziała ją wcześniej przelotnie może ze dwa razy, ale miała o niej wyrobiony i bynajmniej nie najlepszy osąd na podstawie zwierzeń i mimowolnie zasłuchanych rozmów policyjnego partnera.

Z Derekiem pracowała tylko pół roku, ale zdążyła go dobrze poznać. Był dziwnym gościem. Świetnym policjantem, z tych, którzy wyczuwają bandziora lepiej niż owczarek czuje zakopaną w ogródku kość. I beznadziejnym facetem, z tych, którzy nazywają głupimi dziwkami każdą kobietę nie wskazującą im od razu do łóżka. Tak... ta ubrana od stóp do głów w czerń blondynka ze sztucznym biustem i chyba równie sztucznymi łzami na policzkach na pewno pasowała do nieskomplikowanego ideału kobiety, jaki miał w głowie starzejący się gliniarz z Baton Rouge.

Cholera, o czym ja teraz myślę – Sarah skarciła się w duchu.

Pogrzeb odbył się z pompą i wszystkimi honorami należnymi poległemu na służbie funkcjonariuszowi. Przemawiali pastor, burmistrz i Tim. Obowiązkowe słowa o kruchości ludzkiego istnienia, niezłomnym charakterze zmarłego i nieustępliwości służ miejskich w zaprowadzaniu porządku w Baton Rouge. Sarah przez moment próbował się skupić przynajmniej na słowach Tima, ale słowa przełożonego były w jej umyśle zagłuszane przez natarczywe, systematyczne „klik!”. Odgłos, gdy iglica młoteczka uderza w spłonkę, ale nabój rewolwerowy kalibru .357 nie wypała.

To się zdarza rzadziej niż raz na sto strzałów...

Nie ustawiła się w kolejce składających kondolencje dziewczynie Dereka, tylko od razu ruszyła do południowego wyjścia z cmentarza. Nie dostała zgody komisji lekarskiej na powrót do pracy, a to oznaczało przymusową, co najmniej tygodniową przerwę, aż do kolejnego badania. Niemniej, czuła się o niebo lepiej niż jeszcze przedwczoraj, gdy wypisywała się na własne życzenie ze szpitala. Zaplanowała, że prosto z pogrzebu pojedzie do ojca na farmę, pięćdziesiąt mil na północ od Lafayette i odpocznie tam przez weekend.

Przeszła jakieś sto stóp i obróciła głowę, by rzucić przelotne spojrzenie na żałobników. Wówczas na całym ciele poczuła coś na kształt uderzenia huraganu, rozdzierającego skórę i odbierającego oddech. Przy krawędzi rozkopanego grobu, na pomarszczonym fragmencie flagi z biało-czerwonymi pasami, siedział w kucki czarny mężczyzna z dreadami.

Ten, którego zabiła...

Nawet z tej odległości w ciemnych oczach z poślódką bielmem widać było sączącą się nienawiść. Miała wrażenie, że jej serce miota się w piersi niczym ćma złapana w ciasny słoik przez sadystycznego żartownisia. Sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt, sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę...

Zamrugła oczami. Pustka przy grobie. Kolejna osoba odchodzi od blondynki w czarnym welonie. Tim wpatruje się w stalowoszare niebo, jakby szukając w nim inspiracji. Burmistrz rozmawia z kimś z biura prokuratora. Serce się uspokaja. Sto pięćdziesiąt, sto dwadzieścia, dziewięćdziesiąt...

Ciężko wciągnęła powietrze w płuca i przyspieszonym krokiem ruszyła do bramy. Gdy już wkraczała na przylegający do cmentarza bulwar, zamarła na chwilę, zacisnęła dłonie w pięści i obróciła się. Pusto – tylko nagrobki i poskręcane korony drzew.

Jeszcze tego tylko brakuje, bym zwariowała!

Po trzech godzinach jazdy zatrzymała się na dużej stacji benzynowej ze sklepem samoobsługowym, gdzie czasem robiła zakupy w drodze do ojca. Wypiła na miejscu kawę, z butelką wina i paroma słonych przekąskami w koszyku podeszła do kasy. Przez przeszkloną ścianę rzuciła okiem na swój samochód zaparkowany zaraz za rzędem czterech podwójnych dystrybutorów. Przez chwilę auto zostało przesłonięte przez wolno przejeżdżającą, zdezelowaną szarą furgonetkę, która jednak nie zatrzymała się na stacji – tak jakby ktoś chciał podjechać pod dystrybutor, ale w ostatnim momencie zmienił zdanie.

Zapłaciwszy, szybko zapakowała zakupy do papierowej torby i wyszła na zewnątrz. Stacja była całkowicie opustoszała, jeśli nie liczyć jednego pracownika w przybrudzonej kombinezonie, który kręcił się przy zaworach podziemnych zbiorników. Sarah podeszła do samochodu, sięgnęła do klapy bagażnika...

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Stojący za kasą asteniczny przyszczaty chłopak wychylił się w jej stronę, robiąc pytającą minę. Zauważyła, że stoi na środku wyjścia ze sklepu, blokując rozsuwane drzwi. Potrząsnęła głową, jakby budząc się ze snu, i zrobiła dwa kroki przed siebie. Drzwi zamknęły się z cichym sykiem. Stacja była całkowicie opustoszała, jeśli nie liczyć pracownika w przybrudzonej kombinezonie, który rozplątywał gumowego węża przy jednym z dystrybutorów. Wolnym krokiem ruszyła do samochodu. Gdzieś w oddali dało się słyszeć głośne dudnienie o rosnącej zgodnie z efektem Dopplera częstotliwości. Niechybny znak, że zbliża się sportowe auto z potężnym silnikiem. Sarah sięgnęła do klapy bagażnika...

Pracownik stacji benzynowej uśmiechnął się, ukazując rzędy poczerniałych zębów. Trzymany przez niego wąż dystrybutora nagle zasyczał głośno i naprężył brunatne, łuskowate ciało. Worek z zakupami wyslizgnął się z rąk policjantki. Potem różne odgłosy zlały się w jedno – roztrzaskująca się na asfalcie butelka wina, pomruk silnika, syk wielkiego węża, pisk rozgrzanych do czerwoności tarcz hamulcowych...

Mężczyzna obok dystrybutora zafalował przed jej oczyma, tak jak faluje odbicie na wodzie, w którą ktoś wrzucił kamyk. Sekundę później, nieomal stając dęba, sportowy samochód zatrzymał się między Sarah i dystrybutorami. Opuszczone okno drzwi pasażera znalazło się dokładnie na wysokości bioder policjantki a klamka na wyciągnięcie ręki.

– Do środka! – zakomenderował lekko piskliwy męski głos z niewidocznego dla kobiety siedzenia kierowcy.

Sarah przeniosła wzrok ze stalowoszarego auta na puste miejsce przy dystrybutorze, gdzie jeszcze niedawno widziała tajemniczego pracownika-nie-pracownika. Miała wrażenie, że powietrze w tym miejscu wciąż lekko faluje.

– Do środka! Natychmiast! – powtórzył głos z samochodu.

Złapała za niewygodną, wyprofilowaną aerodynamicznie klamkę, otworzyła drzwi i pochyliła głowę do środka. Za kierownicą siedział atletycznie zbudowany czterdziestolatek o rudych, a właściwie to chyba ufarbowanych na rudo włosach, ubrany w jeansy i skórzaną kurtkę. Jego karnacja wskazywała na domieszkę azjatyckiej krwi, oczu nie sposób było dostrzec zza sportowych okularów przeciwsłonecznych. Wyglądał trochę jak podstarzały miłośnik gier komputerowych ucharakteryzowany na postać z japońskiej kreskówki.

– Nie mamy czasu! – syknął zniecierpliwionym tonem.

Wsiadła. Nawet nie tyle sama domknęła drzwi, co zostały one zatrzaśnięte przez wciskające w oparcie fotela przyspieszenie, gdy auto ruszyło. Rozejrzała się wokoło. Wyłożona karbonem centralna konsola, duży wyświetlacz z kilkoma czerwonymi zegarami... nissana GTR nie sposób było pomylić z innym autem. Czujnym policyjnym okiem zdołała jeszcze odnotować, że pod podłokietnikiem leżą opakowania orzeszków ziemnych i kolorowych żelek, a spod centralnej konsoli biegła plątania kabli do zamocowanych po prawej stronie czterech uchwytów na telefony komórkowe. Z głośników systemu audio krystalicznym tonem brzmiał chorał gregoriański, co tylko wzmagало i tak już gęstą atmosferę absurdu.

Jechali autostradą dziewięćdziesiąt mil na godzinę w stronę Lafayette. Sarah dopiero po chwili poczuła, że ma buty i końcówki spodni zachlapane winem z rozbitej butelki.

– Boże, co to było? – jęknęła.

– Jesteś przekłeta – odpowiedział kierowca, sięgając prawą ręką za poły kurtki. Wypowiedział to zdanie z zaskakującą mieszanką fascynacji i współczucia, coś jak gdyby mówił jednocześnie „niezłe z ciebie ciacho” i „przykro mi, ma pani raka”.

Poczekwała parę sekund, aż rozkołatanе serce nieco się uspokoi. W głowie miała mętlik. Nie wiedziała od czego zacząć. Od pytania, od próby otwarcia drzwi w trakcie jazdy, od wyciągnięcia broni z kabury pod kurtką...

– Agent specjalny Hubert Vaillant – przedstawił się. Podetknął pod nos Sarah trzymany w prawej ręce błyszczący identyfikator.

– FBI? – nie kryła zdziwienia.

Przesunął opuszką kciuka po miejscu, gdzie znajdowało się zdjęcie. Niebieskie litery rozbiegły się niczym mrówki, zniknęły na sekundę, po czym na legitymacji pojawił się napis:

Voodoocide Inc.

licensed by

Witch-hunt Advanced Research Project Agency

– Papier elektroniczny szóstej generacji, z ogniwami fotoelektrycznymi – wyjaśnił spokojnym głosem, po czym schował identyfikator w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Ja chyba śnię... – westchnęła cicho.

Huber starał się stłumić chichot.

– Jak najbardziej – przytaknął. – Śniesz na jawie. Koszmary. A to śmiertelnie niebezpieczne – głos mu nagle spowaźniał.

Próbowała się odezwać, ale słowa ślizgały się w jej umyśle niczym pijak wchodzący na lodowatą taflę, nie dając się ułożyć w sensownie brzmiące pytanie. Bezradnie przeniosła wzrok z kierowcy na pulsującą wskaźnikami konsolę a potem na prawe lustro, w którym szybko pojawiały się i znikły wyprzedzane auta.

– Pracuję dla WARPA – przerwał milczenie. – To agencja rządowa, która zleca zadania z zakresu ochrony przed czarną magią instytucjom prywatnym. Coś jak DARPA w dziedzinie projektów wojskowych. Słyszałaś o DARPA?

– Chyba tak... – wydukała bez przekonania.

– Różnica jest taka, że WARPA oficjalnie nie istnieje. Mają wyższy status tajności niż laboratoriom ufologiczne w Strefie 51. Słyszałaś o Strefie 51?

– Nnno... – Kiwnęła głową.

Rzucił jej przelotne spojrzenie, zmarszczył czoło i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Główna siedziba WARPA mieści się w Massachusetts, niedaleko Salem – kontynuował. – Mamy z nimi stały kontrakt na tępienie magii Voodoo. Jak większość licencjonowanych łowców czarownic, na co dzień działamy pod przykrywką FBI.

Sarah poczuła, że skołowany umysł odzyskuje względną równowagę. Zaczęła się dyskretnie rozglądać za ukrytymi kamerami. W podsufitce, na słupkach i w obiciu drzwi dostrzegła kilkanaście mikroskopijnych gadżetów, które mogłyby robić za coś takiego. *To wszystko jakiś absurd* – zagrzmiało w jej głowie racjonalne *superego*.

– Zabity przez ciebie cztery dni temu mężczyzna to George Sisley z Haiti, jeden z kilku najwyższych rangą *houngan*, czyli czarowników Voodoo. Po trzęsieniu ziemi w 2010 większość czarowników przeniosła się z Haiti do Stanów i przejęło wpływy w tutejszych strukturach – wyjaśnił Vaillant. – Zdziwiasz się, że ci się udało go zastrzelić, bo był dobrze zabezpieczony przed bronią palną – dodał z nutką uznania. – Musisz mieć cholernie silną wolę i pewną rękę. Czasem też się zdarza przy napięciu przedmiesiączkowym...

Jezu, co za świr! – odpowiedziała instynktownie w myślach, by sekundę później z przerażeniem przyznać przed sobą, że właściwie to wcale tak nie uważa. *Był dobrze zabezpieczony przed bronią palną* – powtórzyła w głowie słowa agenta i jeszcze raz uszami duszy usłyszała natarczywe „klik!” niewypału.

– ...nieważne zresztą – Hubert nie dokończył rozpoczętej myśli. – W każdym razie wściekły duch zabitego czarownika nie odpuści, póki stąpasz żywa po ziemi. Jego sterowani z za grobu podwładni zrobią wszystko, byś jak najszybciej zeszła z tego świata – dodał rzeczowym tonem, po czym zrobił krótką pauzę. – Oczywiście nie tak po prostu, ale zgodnie z regułami sztuki...

– Pieprzenie... – chciała krzyknąć, ale tylko cicho syknęła przez zęby.

Popatrzył na nią z nutką politowania, jak belfer patrzy na niesforną nastolatkę.

– Im szybciej w to uwierzysz, tym będzie nam łatwiej – odparł, uśmiechając się szelmowsko. – To jak?

Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i milczała przez parę sekund.

– Zgoda – odparła.

Przytaknął głową z zadowoleniem. Akurat wyprzedzali potężną ciężarówkę a wskazówka prędkościomierza powędrowała na chwilę do stu dwudziestu mil, by zaraz potem łagodnie się cofnąć.

– Ale musisz mi wszystko opowiedzieć – dodała rozkazującym tonem.
– Oczywiście – odparł ze stoickim spokojem. – Oczywiście, że muszę – dodał.
– Wtedy, na nadbrzeżu... – zaczęła i przerwała na chwilę, szukając odpowiednich słów.
– Odcięta głowa to wewnętrzne porachunki – ubiegł pytanie. – Przydatna jako ingrediencja, ale poza tym rzecz bez znaczenia. Dużo ważniejsza była walizka.
– Właśnie!... – weszła mu w słowo.

– Do rzucania uroków wykorzystuje się często zdjęcie ofiary, ale jest z tym pewien problem. Nie może to być zdjęcie cyfrowe, bo zapis cyfrowy nie łączy obrazu z duszą. Technika generalnie kłóci się z czarną magią, to są dwa przeciwstawne światy, które bardzo trudno nagiąć ku sobie. Technika cyfrowa kłóci się szczególnie, jest praktycznie nie do pogodzenia. Staromodnych aparatów na film nikt już praktycznie nie używa poza garstką pasjonatów i, rzecz jasna, czarownikami. Partia, którą przechwyciliście u Sisleya, miała zaopatrzyć całe Wschodnie Wybrzeże. Małe, niezawodne kompaktki i film o wysokiej czułości, ale i drobnym ziarnie. Zestaw niemal doskonały! – rozmarzył się lekko, jakby w skrytości podziwiał spryt przeciwnika. – Kiedyś kultyści używali świetnych czarnobiałych Ilfordów 3200, ale skanery rentgenowskie, których teraz wszędzie pełno, je prześwietlały. Zatem przetrucili się na mniej czułe i łatwiej dostępne Kodaki.

– No... tak – przytaknęła mechanicznie.

Znów popatrzył na nią z nutką patrymonialnej wyższości, wzruszył lekko ramionami i milczał przez chwilę.

– Polowanie na czarownice to stary i zacny fach. Mój pradziadek był egzorcystą, ja poniekąd poszedłem w jego ślady. Podstawą jest oczywiście tradycyjne instrumentarium, jak modlitewniki i relikwie – kontynuował. – Ale bardzo użyteczna okazuje się również najwyższej klasy elektronika.

– To się nie kłóci? – zapytała podejrzliwie, przetwarzając w umyśle to, co usłyszała chwilę wcześniej.

– W żadnym razie – zaprzeczył. – Chrześcijaństwo jest do bólu antymagiczne, ze względu na transcendentny charakter jedyne Boga. Bardzo dobrze wyjaśnił to ponad sto lat temu taki niemiecki gość, Max Weber.

Przygryzła usta, myśląc intensywnie. *To się nie dzieje naprawdę...*

– No dobrze – odparła, siląc się na odrobinę luzu. – Ale nie widzę u ciebie srebrnego krucyfiks...

– Bo nie zagłądałaś do torby na tylnym siedzeniu – opowiedział bez chwili zastanowienia. – Jak dasz radę sięgnąć, to sprawdź. Bez obawy, ja nie przewożę odciętych głów – mrugnął do niej okiem.

Zrobiła kwaśną minę i pokręciła przecząco głową.

Siedzieli przy stoliku przydrożnego baru, położonego parę mil przed zjazdem ze stanowej dziesiątki na Lafayette. Sarah dłubała plastikowym widelcem w sałatce „Cezar”, a Hubert pałaszował zestaw z półfuntowym cheeseburgerem XXXL.

– Ludzie z agencji zajęli się już twoim samochodem i odczyścili monitoring na stacji, tak jakby cię tam wcale nie było – powiedział między kolejnymi kęsami. – Kultyści jednak podążają twoim śladem i nie spoczną, póki cię nie dopadną. Mój GTR jest w dziewięćdziesięciu procentach ekranowany – to opóźnia pościg, ale nie potrafimy ich zgubić. Mamy zatem dwa wyjścia. Mogę cię odstawić do naszego laboratorium, to jest dzień jazdy stąd. Helikopterem byłoby szybciej, ale nikt nie weźmie przeklętej na pokład, przykro mi – uniósł brwi, robiąc współczującą minę. – Tam przejdiesz kwarantannę, a my w międzyczasie spróbujemy wytropić i unieszkodliwić ludzi Sisleya. Alternatywnie, można spróbować sprawę załatwić szybko: zadekować się gdzieś i poczekać na atak. To dla mnie nie pierwszozna, ale jakieś ryzyko zawsze jest. Oczywiście, nie możemy robić zamieszania i wciągać w to policji municypalnej ani stanowej. Jest taki malutki motel przy dziewięćdziesiątce przed Broussard...

– Jechałam do ojca. Ma małą farmę niedaleko Church Point. Mieszka sam – powiedziała. – Ale w sumie, sama już nie wiem...

Hubert schrugał frytkę i tłustymi palcami podrapał się za uchem.

– To nie jest zła myśl. – Poziome bruzdy wykwitły mu na czole. – Duża ta farma? Z dobrym agregatem prądotwórczym? Ojciec ma broń?

– Pytanie! – po raz pierwszy od godziny na jej twarzy zagościł lekki uśmiech. – Ja strzelałam zanim jeszcze potrafiłam samodzielnie się wysikać...

Nie odpowiedział, tylko pokiwał głową i się zamyślił. Potem spojrzął z żalem na pustą paczkę po frytkach i rozpieczętował opakowanie kolorowych jak tęcza piankowych cukierków.

– Jak ty możesz jeść takie świństwa – zapytała zdziwiona. – Na mój rozum agenci federalni powinni się zdrowo odżywiać, nie?

Kolejny raz przytaknął skinieniem głowy, przeżuł piankę i obrócił paczkę cukierków tyłem etykiety w stronę Sarah.

– Przeczytaj skład – poprosił.

– E-cośtam, E-cośtam, syntetycznie barwione, konserwant taki, konserwant owaki, no właśnie – spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Sama chemia, nieprawdaż?

– No!

Uśmiechnął się szelmowsko.

– I o to chodzi – wyjaśnił. – Wprowadzając do organizmu syntetyczne produkty wytwarzane na nowoczesnych liniach technologicznych zwiększamy odporność organizmu na pewne typy magii. Zresztą podobnie działają implanty i protezy. Ktoś, kto ma sztuczny staw biodrowy, jest zdecydowanie bardziej odporny na uroki upośledzające chodzenie...

Pokręciła nosem z powątpiewaniem.

– Tak to działa – ciągnął dalej. – Oczywiście, niektóre te dodatki do żywności są faktycznie niezdrowe. – Sięgnął do trzymanej przez Sarah paczki po kolejną piankę i pstryknięciem kciuka wrzucił sobie do ust. – Niemniej jednak – dodał, przeżuwając. – Nie ma sensu przejmować się potencjalnym rakiem jelita grubego za piętnaście lat, kiedy co drugi dzień ktoś chce ci odgryźć głowę.

Bez przekonania przytaknęła skinieniem głowy, po czym odłożyła opakowanie cukierków na stolik. Po chwili wahania wzięła jednego delikatnie między opuszek kciuka i palca wskazującego, jakby się obawiała, że piankowy stworek zaraz ją ugryzie.

– Tak sobie myślę... – Zmarszczyła brwi. – Nie żeby o sobie, ale tak bardziej ogólnie: czy zdrowa żywność czyni nas w takim razie mniej odpornymi na czary?

– Aż tak źle to nie jest – odparł, patrząc pobłaźliwie na zawartość jej talerza. – Można jeść tę skarłają i drogą sałatę organiczną do woli, to szkodzi tylko portfelowi. Są oczywiście substancje, które uwrażliwiają na magię. Crack, maryśka...

– Ooo!

– Jak najbardziej! Tylko pomyśl: różni jajogłowi z uniwersytetów czy Światowej Organizacji Zdrowia non stop gadają, że trawka jest właściwie nieszkodliwa. Z drugiej strony DEA ma trzy miliardy rocznie na walkę z narkobiznesem. Dlaczego? Bo ktoś na górze dostał cynk, że jest jednak drugie dno. WARPA dba o profilaktykę.

Jej twarz nagle spoważniała. Miała minę niczym już nieco znużony życiem człowiek, którego ciężka praca została wreszcie przez kogoś doceniona.

– Tak, to ma sens – przyznała.

– No widzisz! Jak już wiesz o czarnej magii, to wszystko się da logicznie wytłumaczyć.

III

Elijah Butler patrzył na zaparkowanego przed altaną GTR-a mniej więcej w taki sposób, w jaki pobożny farmer patrzy na świeżo urodzonego źrebaka o trzech głowach. Ojciec Sarah był żyłastym mężczyzną średniego wzrostu, po sześćdziesiątce, lekko zgarbionym, o szorstkiej, ogorzalej skórze. Wyglądał jak ktoś, kto całe życie ciężko pracował fizycznie, zachowując tym samym tężyznę na stare lata. Poruszał się pewnie, sprężysto, ale jednocześnie widać było, że sprawia mu to pewną trudność. Jeśli więc coś odebrało mu nieco sił, to były to nie wiek, ale jakaś poważna choroba.

– Cha, cha, tak to już człowiek ma na starość. Mogę liczyć na wizytę córki dopiero wtedy, gdy ktoś chciał ją zabić – przywitał Sarah szorstkim, ale jednocześnie ciepłym głosem.

– Nie mówiłaś, że przyjedziesz z... – Zlustrował podejrzliwym wzrokiem wysiadającego z samochodu Huberta.

– Miałam po drodze mały wypadek, wszystko ci opowiem – odparła policjantka i mocno wyściskała ojca na powitanie.

Zabrali bagaże Huberta i weszli do środka. Elijah nastawił kawę i wrzucił do garnka fasolkę z kielbasą. Hubert włączył telefon satelitarny i wyszedł na altanę.

– Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, cha, cha – mruknął farmer, wstawiając garnek na palnik. – Masz już trzydzieści lat, najwyższa pora. Nie powiem, trochę inaczej sobie wyobrażałem... – urwał nagle, dostrzegając w oczach ukochanej córki żądzę mordy.

Vaillant wrócił po trzech minutach, wzruszeniem ramion dał znać Sarah, że nic ciekawego się nie dowiedział. Zasiedli do kolacji.

– Ładny samochód, choć chyba trochę niepraktyczny – zagaił Elijah. – Pracujecie razem? – zwrócił się do Huberta.

– Nie, ja jestem z prywatnej firmy – agent uniósł kąciki ust w delikatnym uśmiechu. – Ale pracuję na kontrakcie dla władz federalnych. Tępię szkodniki...

– Praca jak każda inna. – pokiwał głową senior. – Najgorsze są te darmozjady za biurkiem. Tak... a jak się poznaliście?

Jeśli potem zapytasz „jaki masz plany wobec mojej córki” to cię uduszę – pomyślała Sarah, robiąc przy tym kwaśną minę. Na tyle kwaśną, że była to dość jednoznaczna sugestia zmiany tematu dla każdego rozmówcy. Każdego, oprócz Elijaha...

– Bo wiesz, ona... – chciał dokończyć, ale urwał, słysząc dzwonek telefonu komórkowego córki. Sarah odebrała połączenie i podeszła do okna, by nie utracić słabego sygnału.

„Tak”, powiedziała cicho, „tak”... powtórzyła, „kiedy”, „nie”, „nie!”. Rozłączyła się, obróciła w stronę siedzących przy stole mężczyzn i oparła o parapet. Była bledsza od framugi okna za plecami.

– Dzwonił Tim Pennock – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszeli. – Ktoś rozkopał grób i ukradł zwłoki Dereka.

Na parę sekund zapadła martwa cisza.

– Oj tam, zaraz „ktoś”... – odezwał się w końcu Vaillant.

– Nie, to jakiś kompletny absurd! – syknęła gniewnie.

Hubert nie zwracał na nią uwagi, wyjmował kolejne akcesoria z przepastnej torby. Na stoliku sypialni wylądowały: czytnik e-książek w czarnym skórzanym etui z wytłoczonym napisem „Pismo Święte”, coś na kształt wielkiego srebrnego szpikulca do kruszenia lodu z rękojeścią obłożoną włóknem węglowym, dwa podłużne półprzezroczyste magazynki i pistolet maszynowy o zwartej konstrukcji.

– Co to za dziwadło? – skrzywił się Elijah.

– P90 – pośpieszyła z wyjaśnieniami Sarah. – Używają tego antyterrorysty i Secret Service. Kaliber pięć koma siedem, dziewięćset strzałów na...

– Ech, te wasze nowinki. – Senior machnął ręką i wrócił do czyszczenia swojego Mossberga, choć strzelba lśniła już niczym świeżo po wyjściu z fabryki.

Hubert rzucił pistolet w stronę Sarah. Ta sprawnie złapała i zważyła broń w rękę.

– Są różne magazynki, z dwoma rodzajami naboju – wyjaśnił agent. – Ten, które masz założony, ma standardowe *hollow point*. Ten drugi – wskazał na magazynek na stole – to specjalna amunicja rozpryskowa, idealna na zombie, ale trzeba cholernie uważać w zamkniętych pomieszczeniach.

– Skończ wreszcie z tymi zombie! – warknęła.

– Kochanie, przecież pan Vaillant to bardzo przekonująco wytłumaczył – odezwał się Elijah, odkładając w końcu strzelbę na stolik. – Wszystkim nam jest przykro, że spotkało to twojego partnera, ale...

Westchnęła ciężko.

– Jak sobie pomyślę, że miałabym do niego... – Spojrzała na trzymaną w ręku broń.

– Uwierz mi, gdy już go zobaczysz, nie będziesz miała żadnych wątpliwości – odparł Hubert. – Po prostu nie możesz myśleć o nim jak o facecie, z którym przepracowałaś pół roku. Dobra... ja chyba wezmę to. – Szturchnął czubkiem buta leżącą na podłodze piłę spalinową.

Policjantka z niedowierzaniem pokręciła głową.

– To jakiś absurd – powtórzyła już chyba dziesiąty raz tego wieczoru. – No, cholera, jak w jakiejś porypanej grze komputerowej.

– Cha, cha, dobre! – zarechotał swoim zwyczajem Elijah.

Hubert pochylił się, poniosł piłę i położył sobie na kolanach.

– Święta racja – odpowiedział. – Jeśli grałaś choćby w „Zombie Park II”, to właściwie wiesz już wszystko. Zarząd Voodoocide przykłada dużą wagę do działalności edukacyjnej i czasem dyskretnie konsultujemy scenariusze filmów czy mechanikę ...

– Co jej jest!?! – przerwał mu nagle Elijah.

Sarah stała sztywno niczym manekin, z lekko rozchylonymi ustami i spojrzeniem wbitym w ścianę. Potem nagle potrząsnęła głową, budząc się ze stuporu i spojrzała na obu mężczyzn rozkojarzonym wzrokiem.

– Znow miałam wrażenie, że czas się zatrzymuje, a nawet cofa – jęknęła cicho. – Tak było wtedy na stacji benzynowej.

– Do diaska! – syknął Vaillant – Że też o tym zapomniałem!

Odstawił piłę na podłogę, wstał, podszedł do policjantki i chwycił ją za lewy nadgarstek, odgarniając mankiet koszuli.

– Nie masz zegarka? – zapytał takim tonem, jakby chodziło co najmniej o kwestię życia lub śmierci.

– Nie mam, bo po co? – odparła skonfundowana. – Przecież mogę sprawdzić w komórce.

– Nie o to chodzi – westchnął.

Puścił jej nadgarstek i bez słowa zniknął z salonu. Słyszeli zza okna stłumione odgłosy otwierania i zamykania drzwi samochodu. Po chwili wrócił i podał Sarah najeżony funkcjami

sportowy zegarek, w którym na pierwszy rzut oka brakowało chyba tylko opcji klimatyzowania nadgarstka.

– Kłątwa zaburza percepcję czasu, co prowadzi w linii prostej do szaleństwa – wyjaśnił.
– Zegarek to świetna obrona przez niejednym urokiem Voodoo. Oczywiście im bardziej skomplikowany, tym lepiej.

Wzruszyła ramionami i nałożyła czasomierz. Odruchowo spojrzała na nadgarstek Huberta. Zapięty tam zegarek miał elegancki, tradycyjny wygląd. Na czarnym cyferblacie były tylko cztery wskazówki i jakaś dziwny mała tarcza, pokazująca fazy księżyca. Sekundnik zdawał się płynąć, nie tikać. Agent dostrzegł, gdzie powędrował wzrok policjantki i uśmiechnął się pod nosem.

– To *Spring-Drive*, japońska hybryda – wyjaśnił. – Napędzany sprężyną, jak tradycyjne zegarki mechaniczne, ale już wychwyty jest elektromagnetyczny i regulowany oscylatorem kwarcowym. Hybrydy są generalnie bardzo dobre przeciw urokom, gdyż...

– Ugh! – zakasłał wymownie Elijah.

– Dobra, bo jak się zagadamy, to możemy nie dożyć jutra – dokończył w odpowiedzi Valliant i sięgnął po piłę łańcuchową. – Skoro znowu cię wzięło, to znaczy, że są już blisko...

Szara furgonetka zjechała z utwardzonej drogi i zaparkowała na skraju lasu, ćwierć mili od farmy Elijah'a Butlera. Kierowca wysiadł, podszedł do tyłu pojazdu i zapukał w nadrdzewiałą blachę. Oba skrzydła drzwi otworzyły się i na trawę zeskoczyło trzech mężczyzn. Dwóch dzierżyło maczety, jeden miał przewieszony przez ramię karabin a w ręku trzymał worek, którego zawartość naprężyła się, gdy wysiadał. Pół minuty później z ciemnego wnętrza furgonu wytoczyły się dwie kolejne postacie. Ich ruchy były nienaturalnie spowolnione, a bezwładne ramiona dziwnie dyndały na boki, niczym końcówki rozpuszczonego szala.

Zaraz potem cała szóstka ruszyła tyralierą w stronę farmy. Obserwujący intruzów w podczerwieni Vaillant widział jednak tylko cztery ludzkie sylwetki.

IV

– Ciebie już chyba raz zabiłam! – syknęła Sarah przez zęby, gdy czarnosiny zombie zastrzelonego kryminalisty wparował przez zamknięte drzwi do kuchni, robiąc w nich efektowną dziurę – zupełnie tak, jak to się dzieje w disnejowskich kreskówkach. Żywy trup

miał na sobie skąpe resztki fartucha z prosektorium, przez który prześwitywały dwie rany postrzałowe na piersi. Wokół rozdziawionych ust widać było czarno-czerwone ślady zakrzepłej krwi.

Pierwsza seria z P90 urwała wyciągnięte w stronę policjantki prawe ramię i poharatała klatkę piersiową, odrzucając napastnika do tyłu. Sarah sprawnie wymieniła magazynek, błyskawicznie przestawiła broń na tryb pojedynczy i strzeliła intruzowi w głowę. Kula z pewnością dosięgłaby żywego przeciwnika, ale zombie poruszał się i wykonywał uniki tak nienaturalnie, że łatwo mógł zmylić nawet wytrawnego strzelca. Pocisk rozpryskowy trafił w okucie szafki kuchennej i zasypał pomieszczenie gradem mikro-odłamków, czemu towarzyszył odgłos niewiele cichszy od detonacji granatu. Sarah poczuła, jak coś jej śmiga koło ucha i coś innego wbija się w podudzie. Na szczęście ból nie był silny i rana przypominała bardziej ukłucie niż postrzał. Zombie tymczasem zmniejszył dzielących ich dystans do jakichś sześciu stóp.

Zachowując zimną krew przycelowała dokładniej i tym razem pocisk rozerwał kawałek czaszki wraz oczodołem, a mózg wylał się na twarz zombie niczym rozwodniona szara galareta. Napastnikowi zdawało się to najwyraźniej nie przeszkadzać, bowiem po sekundzie zachwiania ruszył znów w stronę odskakującej na bok policjantki, jakimś cudem śledząc jej pozycję ocalałym niewidzącym okiem.

Kolejny strzał pozostawił już tylko zuchwę dyndającą na rozczapierzonej szyi, a jeszcze kolejny na wszelki wypadek roztrzaskał kolano, finalnie powalając napastnika. W tej samej chwili przez wybity otwór w drzwiach wejrzała blada twarz o niegdyś pucołowatych, a teraz obwisłych policzkach, siwych skroniach i poczerniałym nosie. W przeciwieństwie do wcześniejszego agresora, ten był ubrany wyjątkowo schludnie, w mundur galowy policji Baton Rouge. Sarah zacisnęła usta i zaklęła po nosem. Laserowa plamka celownika powędrowała po podłodze, wolno – jakby z wahaniem, w stronę ożywionego Dereka.

Już miała nacisnąć spust, gdy jednocześnie poczuła drętwienie rąk i potworne szarpnięcie w dole brzucha, jakby ktoś tam wsadził pracującą na niskich obrotach wiertarkę. Pistolet wyleciał z łoskotem na podłogę, a Sarah opadła na kolana i zawyła z bólu, zwijając się w pozycję embrionalną. Zza pleców zombie wyłonił się kolejny napastnik, starszy Haitańczyk o szpetnej fizjonomii, trzymający w jednej ręce małą szmacianą laleczkę o włosach splecionych z czarnych nitek, a w drugiej pęk wielkich szpilek...

Agregat prądotwórczy w piwnicy zakrzusił się starym smarem i żarówki staroświeckiego żyrandola zamigotały niczym na Techno Party.

– ...ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną...¹ – śpiewane falsetem słowa psalmu mieszały się z warkotem piły spalinowej. Młody Mulat zawył nieładnie, gdy jego odcięta ręka, wciąż trzymająca w palcach obrzyna, pofrunęła na środek salonu, zraszając wszystko wokół fontanną czerwonych kropli. Hubert tymczasem dokończył półobrót i skierował ostrze w stronę odsłoniętego podbrzusza kultysty. Wycie wzmożło się jeszcze bardziej, przeszło w bulgoczący charkot i ustało dopiero w chwili, gdy martwy już Mulat uderzył twarzą o posadzkę.

Żarówki zgasły na dwie sekundy, by w końcu zapalić się znowu ciągłym światłem. Po drugiej stronie salonu Vaillant dostrzegł wysokiego czarnego mężczyznę w średnim wieku o mlecznobiałych skroniach i orlim nosie, ubranego w ciemny garnitur ze stójką. W jego prawej dłoni prężył się długi na pięć stóp prądkowany wąż, w lewej błyszczało ostrze maczety. Vaillanta od kultysty dzieliło jakieś dwadzieścia stóp w linii prostej, ale po drodze był jeszcze masywny dębowy stół. Agent jedną ręką odrzucił piłę na bok, sięgając drugą po pistolet wetknięty z tyłu za paskiem. Murzyn lekko uniósł rękę trzymającą węża, pochylił się i zrobił krok do przodu, jakby szykując się do skoku.

Beretta błysnęła w dłoni agenta. Pierwszy strzał z zaskakującą precyzją roztrzaskał łeb gada, ale przy drugim naciśnięciu spustu zamek szczękął metalicznie. Truchło węża opadło na posadzkę, po czym przez moment w pomieszczeniu panowała bezgraniczna, jakby przeniesiona z otchłani kosmosu cisza. Kultysta uśmiechnął się szyderczo, odsłaniając śnieżnobiałe kły. Hubert wypuścił bezużyteczną broń i zanurkował w stronę stołu, na którego blacie leżały srebrny szpikulec i elektroniczna Biblia. Przeciwnik był jednak szybszy i potężne kopnięcie przewróciło stół na bok, uniemożliwiając lecącemu agentowi dosięgnięcie akcesoriów. Vaillant przetoczył się po deskach posadzki, starając się ulokować między przewróconym meblem a agresorem. Ostrze maczety przeszło tuż nad głową Huberta, muskając koniuszki rudych włosów.

Robiąc kolejny unik, agent chwycił z podłogi srebrny szpikulec, przetoczył się w tył i stanął na nogi, gotowy do sparowania ciosu. Jednak ręka kultysty trzymająca maczetę była opuszczona, za to jego prawa dłoń zniemacka znalazła się tuż przy ustach. Potężne chuchnięcie wysłało chmurę białego pyłu wprost na twarz stojącego parę kroków dalej

¹ Psalm 23, 4 w tłumaczeniu *Biblii Tysiąclecia*.

Vaillanta, który jęknął cicho, zamrugał oczyma i znieruchomiał. Kultysta uśmiechnął się jeszcze szerzej i nieśpiesznym krokiem podszedł do obezwładnionego agenta. Gdy stali już niemal twarzą w twarz, uniósł powoli dłoń w stronę gardła Huberta...

Agent uderzył błyskawicznie, najpierw łamiąc Murzynowi nos ciosem z główki, a zaraz potem wbijając mu srebrny szpikulec po rękojeść w serce. Kultysta osunął na się kolana z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia twarzy. Vaillant wypluł z ust resztki białego proszku i mruknął:

– Soczewki kontaktowe z nanopowłoką, dupku!

Elijah rzucił kątem oka na mężczyznę z maczetą, rozpiętego bezwładnie na roztrzaskanej framudze okna. Koszulę denata zdobiła wielka czerwona plama od strzału amunicją śrutową z bliskiej odległości, ale mimo to senior roku Butlerów postanowił się jeszcze raz upewnić, że kultysta *na pewno* nie żyje. Zza zamkniętych drzwi salonu dochodziła przedziwna mieszanka hałasów. Dało się z niej wyłowić, między innymi, dźwięk tłuczonego szkła, warkot piły łańcuchowej i piskliwy głos Huberta.

Zaraz potem wszystko zagłuszył świst broni maszynowej od strony kuchni i tamże farmer skierował swoje kroki, przeładowując pod drodze strzelbę. Gdy wparował do środka, ujrzał skręcone ciało córki na posadzce obok kredensu. Sarah trzymała się oburącz za brzuch i wyła z bólu, jej pistolet leżał kilka stóp dalej. Parę stóp od niej, obok stołu, leżało zmasakrowane ciało ciemnoskórego mężczyzny. W roztrzaskanych drzwiach na altanę kiwała się trupioblada postać w policyjnym uniformie. Choć Elijah wiedział, że może się czegoś podobnego spodziewać, tym niemniej widok munduru wywołał wewnątrz opór przed błyskawicznym pociągnięciem za spust. Przez dwie sekundy farmer i zombie stali niczym sparaliżowani, potem jednak żywy po śmierci zaszarżował chybliwym, acz zaskakująco żwawym krokiem.

– Co zrobiłeś mojemu maleństwu?! – warknął przez zęby Elijah, a jego pytaniu towarzyszył odgłos wystrzału, przeładowania broni, dwóch kroków do przodu i powtórnego wystrzału. Zombie został odrzucony do tyłu niczym szarpnięta sznurkami marionetka, potem próbował odzyskać równowagę, ale kolejny strzał cisnął nim o ścianę i wywrócił. Wtedy dopiero farmer dostrzegł, że w pomieszczeniu jest jeszcze jeden mężczyzna. Elijah przeładował broń, obracając lufę w stronę agresora, ale kultysta był szybszy.

Prawa dłoń czarnoskórego mężczyzny o białych włosach wciąż trzymała laleczkę z wbitym pół tuzinem szpilek, zaś jego lewe ramię było wyprostowane, z palcami o długich

paznokciach rozczapierzonymi niczym szpony drapieżnego ptaka. Elijah poczuł nagle ból w klatce piersiowej, tak potworny, że natychmiast wyładował na kolanach, podpierając się kolbą strzelby niczym laską, a wolną dłonią łapiąc za serce.

Na twarzy kultysty odmalował się sadystyczny uśmiech, zaś na przeoranym zmarszczkami czole Elijah wykwitły duże krople potu. Stan ten trwał może parę sekund, farmer stęknął i zgiął się jeszcze bardziej ku ziemi, Haitańczyk zarechotał pod nosem. Już mogło się wydawać, że Elijah padnie bezładnie na deski posadzki, lecz on nagle uniósł głowę, a z mokrej od potu twarzy zniknął grymas cierpienia. Rozczapierzona dłoń kultysty zadrżała, w ciemnych oczach odmalował się wyraz dezorientacji. Farmer tymczasem wysunął jedną nogę do przodu i, uzyskawszy stabilny punkt podparcia, z pozycji klęczącej przycelował i pociągnął za spust...

Epilog

Hubert odprowadził wzrokiem czarną półcieżarówkę eskortowaną przez dwa fordy Rangery z insygniami FBI. Odszedł od okna i wrócił do stolika.

– Posprzątane! – oznajmił, siadając.

Elijah rozlał z dzbanka gorącą kawę do filiżanek i również usiadł.

– Wiesz co, porządny z ciebie facet, Vaillant – rzekł – nawet jeśli czasem za dużo gadasz...

Sarah uśmiechnęła się lekko pod nosem. Na jej białych policzkach wciąż było widać jeszcze ślady bólu i przemęczenia, ale już w oczach tańczyły wesołe ogniki. Hubert pociągnął łyk kawy i posłał policjantce zagadkowe spojrzenie.

– Mówiąc „posprzątane” nie miałem jedynie na myśli tego bajzlu tutaj – westchnął. – Sarah Butler, z przykrością oznajmiam pani – jego głos przybrał nieco teatralny ton – że dziś rano miała pani tragiczny wypadek na jednej z dróg dojazdowych stanowej dziewięćdziesiątki. Twój rozpędzony samochód spadł z nasypu i spłonął, straż mogła już tylko wydobyć z wraku zwęglone zwłoki.

– Auć! – syknął Elijah.

– Jednocześnie, witam w imieniu kierownictwa WARPA – ciągnął agent. – Czeka na ciebie nowa tożsamość, sześć miesięcy szkolenia, zaprzysiężenie i służba w jednej z licencjonowanych przez Agencję korporacji. Z oczywistych względów polecam Voodooicide. – Mrugnął porozumiewawczo okiem.

Była już policjantka rozejrzała się wokół, jakby szukając inspiracji w zdemolowanych meblach. W końcu rozłożyła ręce i odparła:

– Skoro to jedyne rozwiązanie...

Vaillant kiwnął głową.

– ...niech i tak będzie – dokończyła. – Teraz i ja jestem taka trochę „żywa po śmierci”...

Wszyscy głośno się zaśmiali.

– Tak czy siak, mamy stypę po dawnej pannie Butler – stwierdził Elijah i podniósł się z wysiłkiem z krzesła, podpierając o oparcie. – Trzeba to jakoś uczcić...

Minutę później o blat stołu uderzyły trzy kryształowe szklanki i butelka bourbona.

– Taaak, odrobinka whiskey dobrze mi robi na serce – westchnął farmer, gdy już kończył rozlewanie bursztynowego trunku. – Kiedy sobie tylko przypomnę, jak mnie ten sukinsyn ucapił...

Hubert unosił szklankę, ale jego dłoń nagle zamarła, a na twarzy odmalowało się głębokie zamyślenie.

– Właśnie! To w sumie bardzo zastanawiające... Czarownik użył potężnej magii. Nie zrozum mnie źle, Elijah, ale nawet zdrowy jak byk młodzieniaszek miałby nikłe szanse przeżyć coś takiego – Zmarszczył czoło, podrapał się w skroń i milczał krótką chwilę, wciąż trzymając szklankę dwa cale od ust. – Zaraz! A nie masz przypadkiem rozrusznika?

– Mam – przyznał Elijah.

– No tak – agent odetchnął z ulgą. – Wszystko da się logicznie wytłumaczyć...